

Stąd do wieczności

Ocalmy od zapomnienia. Wspomnienie o Apoloniuszu Zawilskim - człowieku niezłomnym.



STĄD DO WIECZNOŚCI

Kiedy dla historyka - pisarza w Polsce przychodzi czas satysfakcji? Na pewno warto by zadać to pytanie Normanowi Dawisowi po wydaniu ostatniej książki o Powstaniu Warszawskim. Wielu wcześniej przecież pisało na ten temat, ale czy mieli poczucie sukcesu? Nasza współczesność ze względów rynkowych przesunęła dziś ciężar roli historyka z pozycji świadka - nauczyciela w stronę analityka - publicysty. Wartością podstawową staje się sztuka wciągnięcia czytelnika w meandry związków przyczynowo-skutkowych, a nie autorytatywne puenty. Bo tylko wątpliwości zmuszają do myślenia, a w każdej historii jest ich wszak tyle co faktów.

W naszym kraju przez ponad pół ostatniego wieku toczyła się bezpardonowa wojna o umysły. Jednym z najważniejszych pól owej walki była właśnie historia jako podstawowa konstrukcja świadomości społecznej. A tę trzeba było oszukać. Systemowa cenzura historii najnowszej z zasady stawiała w trudnej sytuacji zarówno historyków jak i świadków ważnych procesów i wydarzeń. Na wątpliwości nie mogło być miejsca, co stało się w końcu przyczyną upadku systemu. Historycy chcący opublikować efekty uczciwej pracy musieli czyhać całe lata na specjalne okazje (zwane też "odwilżami") w gotowości na grę z cenzorami. I mieć poczucie misji, żeby nie wałnąć roboty do pieca.

Apoloniusz Zawilski chciał być po prostu pisarzem. Odkrył w sobie tę skłonność w 1939 r. w niemieckim szpitalu polowym, spisując pamiętnik z dopiero co zakończonych walk. Potrzaskana kulami

noga unieruchomiła go na długo i nie było gwarancji, że zostanie przy nim na zawsze. Pisanie stało się więc antidotum także na rzeczywisty wynik osobistych i wojennych zmagañ. Był zawodowym oficerem artylerii, przed którym otwierał się nie znany jeszcze rozdział okupacyjnej egzystencji, zaś świeża przeszłość miała wszelkie znamiona historycznej wagi. Owe dzienniki dowódcy baterii z bojowych szlaków kampanii miały posłużyć potem do jego pierwszej i najbardziej osobistej książki pod tytułem "Bateria została".

Nie wiedział, że zacznie długą walkę o prostowanie świadomości o czasach, w których przyszło mu żyć. Wojenne losy Zawilskiego potoczyły się dość typowo. Po długiej rekonwalescencji kontuzjowana noga, obroniona przed piłką chirurgiczną przez austriackiego lekarza Wehrmachtu, wróciła do normy na tyle, że Apoloniusz poszedł do konspiracji i w strukturach świętokrzyskiego okręgu AK służył do 1944 r (m.in. jako d-ca placówki wywiadu wojskowego w Lubartowie). Wraz frontem na Wiśle i "Polską Lubelską" zaczęły się oblawy i aresztowania. Wspominał czasem widok kolegów prowadzonych pod eskortą przez ulice Lublina. Wreszcie przyszła też kolej na niego. W celi postawiono mu ultimatum: jeśli jako zawodowy oficer odmówi służby w Odrodzonym Wojsku Polskim, to w czasie wojny jest za to jeden wyrok - przysłowiowa "kula w łeb". Po dwóch tygodniach przyjął mobilizację, lecz badania lekarskie ze względu na nogę wykluczyły go ze służby liniowej.

17 grudnia 1944 r. trafił do redakcji powstającego czasopisma dla kadry dowódczej. Jako dyplomowany oficer z doświadczeniem frontowym miał opracowywać i wyjaśniać podstawowe prawa taktyki oraz sens i funkcje regulaminów w wojennej praktyce dowodzenia oraz instrukcje. Ostatecznie pismu nadano tytuł "Bellona" na wniosek przydzielonego na krótko do redakcji kapitana Jerzego Putramenta. Zawilski nigdy nie lubił i nie zapomniał jego komisarских gestów i obyczaju chodzenia z odpiętą kaburą. Miesięcznik stał się jednym z nielicznych wówczas polskojęzycznych materiałów szkoleniowych, których tak bardzo brakowało rozbudowującej się armii. On zaś, jako najbardziej doświadczony w walce dowódca (z przedwojennym tytułem inżyniera) został kolegią obrany kierownikiem zespołu. Jako redaktor zaczął profesjonalnie zajmować się pisaniem i analizą dymiących wciąż pól bitewnych. Starsi i młodzi żołnierze wciąż jeszcze wyruszali na front, więc jego oficerska uczciwość nie pozwalała mu lekceważyć tej pracy.

Po zakończeniu wojny redakcję Wydawnictw Periodycznych wraz z Instytutem Naukowo - Wydawniczym przeniesiono wraz z "Belloną" do dużego budynku w Łodzi przy ulicy Sienkiewicza 21, lecz wtedy jeszcze Apoloniusz Zawilski nie spodziewał się, że przyjdzie mu związać się z tym miastem na dłużej. Otrzymał tu kwaterę służbową i założył rodzinę, lecz losy mogły potoczyć się różnie; "Bellona" stała się głównym organem Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego, a kapitan Zawilski jej redaktorem naczelnym. Ważne również było to, że pamiętnik z września czyli literacki debiut ukazał się drukiem już w 1946 r. Co więcej, niebawem wpisano go na listę obowiązkowych lektur szkolnych. Niestety, jego kariera na pułkach księgarskich była krótka. Redakcyjny kolega wydał słuszniejszą książkę pod tytułem "Wrzesień" i resztę nakładu "Baterii" zwinięto z księgarskich półek do magazynów. Na szczęście w dwa lata później zabrali je stamtąd do szkolnych bibliotek urzędnicy Ministerstwa Oświaty.

W 1949 r. skierowano go do stolicy. Czasów pracy w Warszawie nigdy nie wspominał ze szczególnym sentymentem. Rozrastały się aparaty sztabowe i polityczne, rozkręcała karuzela personalna. Na schodach i odprawach spotykał młodego, acz dość sztywnego oficera Wojciecha Jaruzelskiego. Nadeszła jednak pora na rozszerzanie zainteresowań, a on fascynował się teatrem. Dlatego wstąpił do szkoły dramaturgii w Instytucie Teatralnym pod kierownictwem Leona Schillera, który ukończył w 1950 r. Rok później zwolniono go z wojska w stopniu majora rezerwy i dwa dni potem aresztowano w mieszkaniu. Zaczął się najgorszy okres w jego życiu; nieustanne przesłuchania, przewozy z aresztu do aresztu.

Pani Halina szukała go wszędzie i znalazła. Był w łódzkim areszcie Informacji Wojskowej na Gdańskiej przy Zielonej. Trudno było patrzeć, a tym bardziej zapomnieć, jak na to wyblagane spotkanie w piwnicach wyściełanych słomą wypchnięto go w piżamie. Potem proces, wyrok śmierci, więzienie. Sprawę potocznie nazwano od nazwisk dwóch najważniejszych generałów Tatara i Kirchmaiera podejrzanych o oficerski spis. Natychmiast też wycofano z obiegu jego książki. Gdy karę śmierci przekwalifikowano na dożywocie wszystkim oskarżonym w tzw. "procesie głównym", zelżały trochę więzienne rygory. Sam nie lubił wspominać tych czasów, a pytany odpowiadał, że nie były zupełnie stracone, bo wykorzystał je na uzupełnienie zaległości wojennych w lekturach i rozmowy z bardzo wartościowymi ludźmi, ważne w przyszłości dla jego pracy. Los wpleciony w czystki w Wojsku Polskim

sprawił, iż Zawilski zetknął się w więzieniu z wieloma doświadczonymi dowódcami z września 1939 r. Przez rok więziony był w słynnej warszawskiej Cytadeli, potem przewieziono go do Wrocławia skąd, po wielu staraniach, w lutym 1955 r. wyszedł na urlop zdrowotny.

Wrócić do celi nie zdążył. Po unieważnieniu wyroku w 1956 r. z powodu braku dowodów winy (!) wojskowy wymiar sprawiedliwości zmiany werdyktu nie obwieścił nikomu. Nawet samemu skazanemu, by odium "politycznego" robiło wciąż swoje. Życie na wolności musiał więc zaczynać od zera, a radość powrotu do żony i syna psuły bezskuteczne próby podjęcia jakiegokolwiek etatu. Ponieważ odmówiono mu także uprawnień do wojskowej emerytury, podejmował się prac, do których nie żądano spowiedzi z przeszłości. Pracował w kopalni, w gospodarstwie rolnym, był korepetytorem, nauczycielem, wreszcie nawet kierownikiem literackim w teatrze w Kaliszu i Łodzi. I pisał. Jego żona Halina mówiła, że potrafił pisać nawet z dzieckiem na kolanach. Uzupełniał też wykształcenie; więzienne lektury, zaprocentowały w trakcie studiów na Uniwersytecie Łódzkim. Po latach lubił ten okres zamykać jednym zdaniem: "*musiałem dawać sobie radę*". W 1962 r. nakładem Wydawnictwa Łódzkiego wydaje powieść "Grzegorza Mała" o dramatach mieszkańców rodzimego Wołynia, a już w rok później "Szklane zboczce". W międzyczasie dwukrotnie wznawiano druk jego "Baterii", do której czwartego wydania w 1965 r. przedślowie dopisał sam gen. J. Kirchmajer. W Łodzi tę książkę wznawiano później jeszcze dwa razy. Dwa lata później opublikował "Złotą szablę", historyczny portret Bełchatowa pod tytułem "Bełchatów i jego historyczne awanse" opatrzone licznymi ilustracjami i mapami, a w 1969 r. wydał powieść o tym mieście. Rok wcześniej jednak Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej drukują jego "Bitwę nad Bzurą", która jest tylko wstępem do rozpoczętych prac nad dwutomowym kompendium o "Bitwach polskiego Września". To dzieło Apoloniusz Zawilski traktował jako swój honorowy obowiązek.

Wszystko wskazywało na to, że z ową historiografią kampanii nie będzie większych problemów, bo i sam temat wydawał się już oczywisty, nie wspominając o skali historycznych badań podjętych przez autora. Oficjalne rozmowy w MON-ie przebiegały łagodnie, lecz konflikty pojawiły się na szczeblu naukowo-recenzenckim. Zawilski nie myślał czekać. Na Uniwersytecie złożył książkę jako pracę naukową do obrony doktoratu z historii. Tytuł doktora i swojej książki obronił po oficersku, zaś druk przeniósł do cywilnej Naszej Księgarni w tym samym 1972 r.. Nie pozwolił zmienić historycznej wymowy faktów z bitewnych pól kampanii, świadczących o wysokiej jakości tamtych zmaganiach obronnych. Kiedyś, po latach, przyznał mi się, że dopiero prace nad tą książką dały mu do tej prawdy pełne przekonanie i poczucie spełnionego obowiązku. Ale czy na pewno? Przecież przez wiele kolejnych lat zbierał nadal materiały uzupełniające, które zamieścił w poprawionej wersji "Bitew polskiego września", wydanych tym razem w Wydawnictwie Łódzkim w 1989 roku.

Kolejne książki sypały się dalej jak z przysłowiowego rękawa. Dekada lat siedemdziesiątych jest w Polsce epoką rozluźniania polityki społecznej i kulturalnej. Drugą część wspomnień zatytułowanych "Kamienne zegary" drukuje zawsze mu przychylnie Wydawnictwo Łódzkie w r.1973 i dwa lata później następną powieść "Testament", a w międzyczasie w Poznaniu ukazuje się praca Zawilskiego o Stanisławie Kaczkowskim. Potem następuje trzyletnia przerwa. Autor podróżuje i gromadzi materiały. Gierkowska odwilż i reaktywacja środowisk kombatanckich sprzyja takim wyjazdom. Apoloniusz spotyka się z legendarnymi dowódcami Polskich Sił Zbrojnych w Anglii i odwiedza syna w Kanadzie. Nie przerywa też pracy. Już w 1979 r. wydaje dwie książki o Bułgarii: "Bułgaria trzynastu wieków" oraz "O wolność Bułgarii". Jednak trudne lata osiemdziesiąte to dla Apoloniusza Zawilskiego także kłopoty ze zdrowiem. Otwierają się stare wojenne rany, zamyka rynek wydawniczy.

Po zawieszeniu Związku Literatów Polskich i likwidacji Wydawnictwa Łódzkiego coraz trudniej mu planować pracę, zaś egzystencjonalna mizéria epoki jaruzelskiej wymaga walki o najprostsze sprawy. Wprawdzie urodzony w 1912 r., zaprawiony w bojach z historią Zawilski miał dostateczny dystans do kryzysów polityki, by wiedzieć, że przełom jest nieunikniony, ale nie miał czasu w tym wieku na odkładanie pracy. Zastoje chyba nawet bardziej drażniły żonę Halinę, którą, jako znanego w Łodzi historyka sztuki o ugruntowanych poglądach na system, spotykały trudności zawodowe.

Gdy zetknąłem się z Panem Apoloniuszem, zaskoczyła mnie jego pogodna bezpośredniość. Był rok 1987 i ciasne mieszkanie w bloku pełne było książek i teczek z notatkami na regałach i resztkach starych, ładnych mebli. Aż podziw ogarniał, że tak postawny mężczyzna jak Zawilski mógł się w tym tłoku poruszać. Rozmawialiśmy o przeszłości i jego planach pisarskich; kończył 75 lat. Przygotowywał właśnie następne ogromne dzieło "Polskie fronty 1918 - 1945", a w Iskrach złożył reportaż pt. "Sam na

sam z Ameryką". Opowiadał o szerokiej korespondencji jaką prowadził z mieszkańcami Wołynia i kombatantami w kraju i za granicami dla rozszerzenia nowej wersji książki "Znów ożywają kurhany" oraz "Bitew polskiego Września", wreszcie o trudnościach z uznaniem jego praw do kombatanckiej renty. MON znów był mu nieprzychylny, a on sam miał już dość użerania się z twardogłowymi. Ponieważ miałem taką możliwość, postanowiłem napisać o tym w formie obszernego wywiadu do tygodnika "Żołnierz Polski", który chętnie zamieszczał portrety pisarzy batalistów. Materiał przyjęto z objawem zainteresowania, ale druk się przeciągał z tygodnia na tydzień. Po dwóch miesiącach doszedłem do wniosku, że portret pisarza - oficera z karą śmierci w tle, nie przejdzie jeszcze w oficjalnym wojskowym magazynie. Byłem wściekły i było mi wstyd. I wtedy się ukazał - na całą stronę, bez istotnych skrótów, z dużym portretem na środku. Okazało się później, że musiał czekać na tygodniowy urlop redaktora naczelnego, który przed wydrukiem wolał powziąć takie alibi.

Od tego czasu spotykaliśmy się dość często. Pan Apoloniusz mnie polubił i zawsze mi ten wywiad pamiętał, nie skrywając szacunku. A przecież wtedy po prostu udało mi się trafić na kilku normalnych dziennikarzy i tyle mojej zasługi. Cieszyło mnie oczywiście zaufanie i możliwość spotkań z człowiekiem, którego podziwiałem za wszystko. Lubiłem też jego ulubione sałatki i opowieści przy lampce koniaku. Był dla mnie zawsze także wzorem dokumentalnej niezłomności i indywidualnej siły, wspomnienie której do dzisiaj wspiera mnie czasem w trudnych chwilach.

Kiedyś, na wieczorze autorskim zorganizowanym w Łodzi przez Stowarzyszenie Autorów Polskich, na pytanie prof. Dziegielewskiej: "o czym by pisał gdyby nie było wojny?" - odpowiedział: "...byłbym pewnie pułkownikiem i nie miałbym czasu na rozmowy o pisarstwie. Ale była. Dziś przecież jednak nie chodzi mi o samą wojnę. Chcę dokumentować postawy Polaków, ludzi wypełniających najtrudniejsze obowiązki w czasie wojny. Czynię tak, bo uważam i mam na to dowody, że wypełniali je nie tylko z poświęceniem, ale i rozumnie. Nie wszystkie narody mogą się tym pochwalić, a my nie musimy się niczego wstydić. Ważne jednak jest, żeby żadnej z tych cech nie wyolbrzymiać, bo zamiast portretu powstanie karykatura. Zależy mi, aby portret naszego, odchodzącego przecież pokolenia, był możliwie najprawdziwszy i najpełniej uporządkowany. Nie trzeba przy tym niczego prostować, ani upraszczać, bo tylko taka synteza może okazać wartości." Uważał, że ten obowiązek nosi na sobie jak tamten wrześniowy, przepocony mundur i mawiał o tym bez cienia patosu. A przecież pisał także dramaty o wrześniu o powstaniu jak ten największy "Świt nad Ziemią i nad wodami". Wraz z przemianami 1989 r. i jubileuszowymi obchodami wybuchu wojny ruszyły także sprawy Pana Apoloniusza. Wznawiano książki, przyznano stopień pułkownika i uprawnienia kombatanckie. Sypnęły się odznaczenia, komisja wliczyła wreszcie pobyt w niemieckim szpitalu polowym w brakujący do renty okres pełnienia służby wojskowej. Przyszedł wreszcie czas na wystawy dorobku, jak w Bibliotece Uniwersyteckiej w Łodzi i benefisy. W 1993 r. także miasto przypomniało sobie o pisarzu nadając mu Odznakę za Zasługi dla Miasta Łodzi, lecz dopiero cztery lata później Rada Miasta przyznała mu swoją nagrodę pieniężną.

27 grudnia 1995 r. Sąd Najwyższy RP znów orzekł w sprawie kary dożywocia z przed ponad czterdziestu lat. Wraz z pozostałymi oskarżonymi w sprawie Tataru i Kirchmajera Apoloniusz Zawilski zwolniony został od zarzutów z powodu nie popełnienia czynu. Okazało się, że dopiero ten werdykt zamknął ostatecznie możliwość ponownego rozpoczęcia sprawy (!).

Z maszyny do pisania przesiadł się na komputer. Zebrał listy Michaiła Pawliszczewa do cara i dokonując tłumaczeń, prowadził ich analizę historyczną. Prace postępowały mozolnie nie tylko z powodu trudności z dotarciem do źródeł z okresu Powstania Styczniowego. Pan Apoloniusz przyznawał się, że bezgraniczna nienawiść Pawliszczewa do Polaków, wylewająca się z kart rękopisów, męczy go do tego stopnia, iż musi robić dłuższe przerwy. Na sześćdziesięciolecie wybuchu wojny namówiłem go na wspomnienia dla łódzkiego radia. Wraz z Konradem Tatarowskim stworzyliśmy audycję z udziałem Eugeniusza Rogowskiego - lotnika, Jerzego Urbankiewicza - kawalerzysty i także pisarza, oraz jego Apoloniusza Zawilskiego - dowódcy baterii haubic. Jeszcze raz swoim niskim głosem, ze śpiewnym wołyńskim akcentem opowiedział publicznie o przeżyciach z września i swoim boju pod Bydgoszczą wartym *Virtuti Militari*. Podsumował wspomnienia tak:

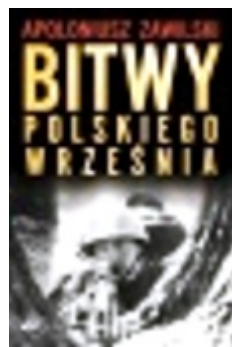
"...W 1939 udowodniliśmy naszą potrzebę istnienia w sercu Europy. Gdybyśmy nie walczyli, dalibyśmy dowód odwrotny. Zatrzymaliśmy uderzenie dwóch imperialistów; krzywdzące jest to, że się nas nie

docenia. Zginęło wtedy 67 tys. żołnierzy i oficerów, a ostateczny cios zadano nam w Katyniu, Charkowie, Ostaszku i Miednoje, gdzie zamordowano 22 tysiące. Do końca życia będę walczył o to, żeby stała się sprawiedliwość dla tych poległych." Dziś chyba już niewiele można dodać do dziejów września - zapytałem go kiedyś, a Apoloniusz odparł natychmiast: o wręcz przeciwnie. Są całe obszary białych plam. Na przykład w literaturze niemieckiej są opisane zdarzenia, po których u nas nie ma żadnych śladów. Ostatnio czytałem o pewnej miejscowości pod Lublinem, o której nie było nigdy pół słowa. Ile jeszcze może być takich zdarzeń znanych tylko poległym. O wielu ciągle jeszcze nie wiemy jak zginęli. Czyny innych, choć godne najwyższego uznania, wciąż nie doczekały się pośmiertnych odznaczeń. Ciągle jest wokół nas wiele niechęci i zobojętnienia

Przyznał mi się potem już bez mikrofonu: "wie pan, cholera; ja nawet czasami jeszcze myślę, czy wtedy tak musiało się stać, że ta moja bateria została?" i zaśmiał się szczerze. Lubił się śmiać i robił to często.

Oboje z żoną czekali wtedy na mieszkanie w Warszawie - większe, bliżej syna i wydawnictw, których brakowało w Łodzi. W rok później doszło do przeprowadzki. Książka "Tygodnie polskiego buntu 1861 - 1864" objęła dwa grube tomy i stała się edytorsko bodaj najlepiej wydaną pracą Apoloniusza Zawilskiego. Stało się to w 2003 wraz ze spektakularną promocją w komnatach Zamku Królewskiego. W tym samym roku w Łodzi Wojciech Grochowalski wznowił w swoim wydawnictwie jego debiut pisarski "Bateria została" i zaprosił wraz z Prezydentem J. Kropiwnickim na spotkanie w głównej sali Urzędu Miasta. Pamiętam, że było uroczyste, a sala zapełniła się gośćmi po brzegi. Widziałem też, że pan Apoloniusz poruszał się wtedy z trudnością. Zapamiętałem także pierwsze niezręczne słowa powitania: "Witam Pana nie tylko jako Prezydent tego miasta, ale też jak doktor doktora...". Wielu ludzi chciało się przywitać z obojgiem małżonków. Rok później zmarł.

Pamiętam też, jak któregoś dnia, gdy przyszedłem znów w odwiedziny na ulicę Srebrzyńską, pani Halina oświadczyła mi w drzwiach, że go nie ma " *bo poszedł do wieczności, ale powinien zaraz wrócić...*" i poprosiła, żebym poczekał. Zrobiłem wtedy chyba głupią minę. Nie skojarzyłem krótkiej uliczki Wieczność przy cmentarzu na Mani, nim nie dodała, że Apoloniusz miał zwyczaj chadzać tą trasą na spacer. Wtedy wrócił i rozmawialiśmy. Zaś co do satysfakcji? Nie ośmieliłem się zapytać, bo zawsze miałem wrażenie, że nie oto naprawdę szło. Walczył z historią o historię i obrywał ciosy. Zostawił książki, a odpowiedź zabrał ze sobą. - na ten bardzo długi spacer przez Powązki, do swoich kolegów z Września.



Pułkownik dr Apoloniusz Zawilski - historyk, pisarz i dramaturg urodził się 21 października 1912 r. w Kołodeży k. Łucka. W 1935 r. ukończył Oficerską Szkołę Artylerii w Toruniu. Uczestnik walk obronnych w 1939 r., członek Armii Krajowej, od 1944 do 1951 r. w czynnej służbie jako redaktor naczelny miesięcznika "Bellona". W 1951 - 56 niesłusznie uwięziony i skazany. Od 1945 do 2000 r. zameldowany na stałe w Łodzi. Absolwent PWST w Warszawie i Uniwersytetu Łódzkiego. Odznaczony m.in.: Krzyżem Srebrnym *Virtuti Militari*, Krzyżem Komandorskim i Kawalerskim OOP, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Armii Krajowej, Orderem Zasługi 1, 2 i 3 kl. oraz Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury, Zasłużonego dla Miasta Łodzi. Zmarł w Warszawie 20 czerwca 2004 r. i jako pułkownik został pochowany w Kwaterze Żołnierzy Września cmentarza na Powązkach.

Autor: awers

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl